F. ANTONI OSSENDOWSKI



GRZMOT

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA · POZNAŃ

F. ANTONI OSSENDOWSKI

GRZMOT



ILUSTRACJE TADEUSZA LIPSKIEGO

WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNERA • POZNAŃ

PRINTED IN POLAND



GRZMOT

Dawniej było inaczej.

Lew, władca rozległej krainy we wschodniej Afryce, siał postrach śród małych i dużych zwierząt.

Wstydził się jednak podstępu i wszelkich wybiegów. Obudziwszy się przed świtem, wychodził ze swego legowiska i, podniósłszy głowę o żółtych, płomiennych oczach i najeżywszy piękną, gęstą grzywę, ogonem smagał się po bokach i wydawał raz po raz groźne, przeciągłe poryki. Odgłosy ich biegły ponad wysoką trawę, gęstymi zaroślami krzaków i niskich palm, aż milkły gdzieś w dżungli, pełnej mroku i dusznych oparów. Za ten potężny głos małżonka lwa — zwinna, płowa lwica — przezwała go — Grzmotem.

Posłyszawszy ryk władcy, wszystko, co żyło, pierzchało w popłochu. Mknęły na oślep przerażone stada antylop i pręgowanych zebr; wyciągnąwszy długie szyje, cwałowały gdzieś przez trawiastą równinę ogromne ciężkie żyrafy; szakale z jękliwym skowytem kryły się w niedostępnych haszczach; plamiste i pasiaste hieny, węsząc krótkimi





GRZMOT

Dawniej było inaczej.

Lew, władca rozległej krainy we wschodniej Afryce, siał postrach śród małych i dużych zwierząt.

Wstydził się jednak podstępu i wszelkich wybiegów. Obudziwszy się przed świtem, wychodził ze swego legowiska i, podniósłszy głowę o żółtych, płomiennych oczach i najeżywszy piękną, gęstą grzywę, ogonem smagał się po bokach i wydawał raz po raz groźne, przeciągłe poryki. Odgłosy ich biegły ponad wysoką trawę, gęstymi zaroślami krzaków i niskich palm, aż milkły gdzieś w dżungli, pełnej mroku i dusznych oparów. Za ten potężny głos małżonka lwa — zwinna, płowa lwica — przezwała go — Grzmotem.

Posłyszawszy ryk władcy, wszystko, co żyło, pierzchało w popłochu. Mknęły na oślep przerażone stada antylop i pręgowanych zebr; wyciągnąwszy długie szyje, cwałowały gdzieś przez trawiastą równinę ogromne ciężkie żyrafy; szakale z jękliwym skowytem kryły się w niedostępnych haszczach; plamiste i pasiaste hieny, węsząc krótkimi



i tępymi pyskami, zaczajały się pod korzeniami mahoniów i baobabów; drapieżne lamparty, śmigając w krzakach centkowanymi ciałami, czym prędzej zdążały do swoich legowisk. Nawet potężne i mądre słonie trwożnie poruszały uszami i z hałasem wciągać poczynały powietrze trąbami. Grube, opasłe hipopotamy, przez całą noc żerujące w dżungli przybrzeżnej, z pluskiem i sapaniem wpadały do jeziora i pogrążały się w jego toni.

Wszelaki drobiazg — dzikie koty, małpki, serwale, cywety, wiwery, jeżozwierze — ponure i niezdarne, a silne niezmiernie, — wszystko zaszywało się w gęstwinę lub czmychało do swoich nor podziemnych.





Nawet dzikie perliczki, szaro-rdzawe kuropatwy, duże, zielone gołębie i sępy odlatywały jak najdalej, posłyszawszy potężny lwi poryk.

Grzmot oznajmiał, że wychodzi na łowy.

Wybiegłszy na trawiastą równinę i zoczywszy pędzące, jak wicher, stado rogatych, o ogonach końskich antylop — gnu, poczynał ścigać je. Robiąc ogromne susy, migał śród krzaków płowymi bokami i brunatną grzywą, przesadzał przez krzaki i potoki, z chwilą każdą zbliżając się do umykającej zdobyczy. Wreszcie — ostatni skok i wpadał na grzbiet antylopy lub zebry. Wczepiwszy się pazurami w szyję i łeb ofiary, skręcał jej kark i obalał.



Był tak silny i pewny siebie, że napadał na najtęższe nawet dzikie bawoły — ogromne złe byki o szeroko rozstawionych, grubych i ostrych rogach. Nie cofał się nigdy. Nie znał porażki. To też przed legowiskiem lwiej pary wyrósł cały kopiec z kości zwierzęcych.

Grzmot zawsze przynosił obfitą zdobycz do domu. Lwica, mrucząc radośnie, hodowała spokojnie swoje lwiątka, które syte zawsze — rosły szybko. Niebawem same już wychodziły na łowy, chwytając małe, czerwone i pasiaste antylopy o spiczastych, strasznie ostrych różkach, zające, duże jaszczurki, broniące się smaganiem grubych, mocnych ogonów, a nawet siedzące na jajkach perliczki.

Potem... ach, potem, gdy Grzmot polował zdala od legowiska, czarni ludzie wypłoszyli z niego lwicę, a biały człowiek zabił ją z karabina.

Tak! Minęło już to wszystko!

Grzmot zestarzał się. W gęstej grzywie coraz częściej połyskiwać poczynały siwe włosy, a nawet w czarnej kicie na końcu ogona lew spostrzegł srebrne nici.



Nadchodziła starość...

Lew przekonał się o tem wkrótce. Pewnego razu nie mógł już dogonić zwęszonej przez siebie zebry. Odsadziła się od niego daleko i znikła w krzakach. Zziajany i wyczerpany Grzmot usiadł i wydał rozpaczliwy, przeciągły ryk. Zapewne — płakał i żałował minionej już młodości.

Lata biegły, a wraz z nimi słabnął starzejący się lew. W końcu tak podupadł, że musiał rozkopywać kretowiska i szukać nor myszy polnych, gniazd ptasich i lęgów zajęczych. Jakiś młody lew, który stał się władcą należącej do Grzmota okolicy, dwa razy już poturbował i poranił starego lwa.

Zrozpaczony i osłabły, w obawie przed śmiercią głodową, targnął się na czyn zuchwały. Ujrzawszy idącą z koszem Murzynkę, skoczył



ku niej. Przerażona widokiem strasznego, grzywiastego drapieżnika cisnęła kosz na ziemię i z krzykiem rzuciła się do ucieczki.

Człowiek jednak, jak wiadomo, biega wolniej od wszystkich zwierząt, z wyjątkiem jednego chyba żółwia, więc Grzmot, który nie mógł już dogonić antylopy, żyrafy, szakala i zająca, dopędził ją w końcu.

Wieść o tem, że w okolicy pojawił się lew, napadający na ludzi, lotem błyskawicy, rozbiegła się po wioskach murzyńskich, aż doszła wreszcie do osady białych ludzi. Jeden z osadników, domyślając się, że musiał to być zapewne stary lew, postanowił go schwytać. Na jego rozkaz Murzyni rozstawili śród krzaków mocne sieci, a krzykiem i biciem w bębny wypłoszywszy Grzmota, zapędzili go do pułapki.

Związany lew szarpał się i ryczał wściekle.







— Ależ ma głos ten staruszek — niczem grzmot! — zaśmiał się osadnik.

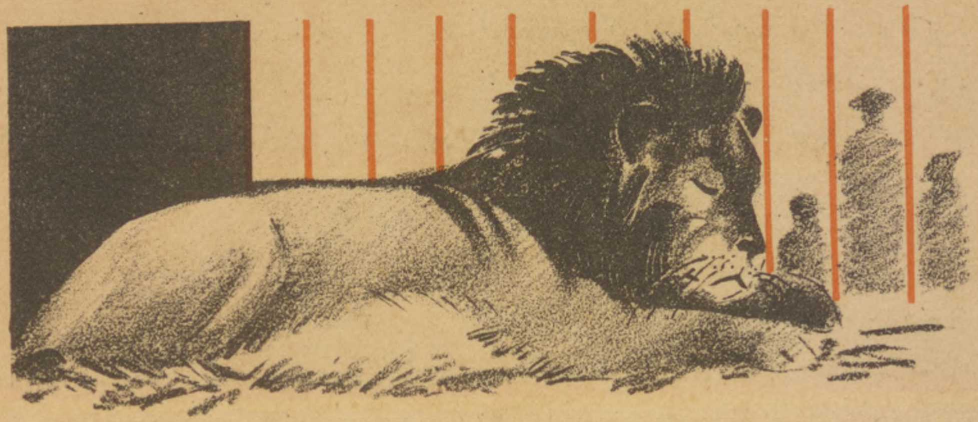
Jak niegdyś lwica, tak teraz biały człowiek przezwał go Grzmotem, a to dlatego, że lew posiadał tak potężny i donośny ryk.

Biały człowiek obawiał się wszakże, że będzie miał z nim kłopotów co niemiara.

Lew jednak, zamknięty w żelaznej klatce i nakarmiony do syta, wpadł odrazu w wyborny humor. Na widok dozorcy po kilku już dniach przestał marszczyć paszczę i pokazywać potężne, żółte kły, nie rzucał się i nie ciskał na Murzyna, gdy ten podchodził do klatki, by sprzątnąć w niej i zgarnąć niedojedzone ochłapy mięsa i odłamki kości.

Nie minęło trzech miesięcy, a biały człowiek już bez strachu wchodził do klatki Grzmota i nawet głaskał go ostrożnie po grzywie.

Lew czuł się szczęśliwym w niewoli. Nie potrzebował już uganiać się za zdobyczą, młode lwy nie szarpały mu skóry, głód nie dokuczał mu teraz, gdyż karmiono go obficie i obchodzono się z nim łagodnie.



Nie tęsknił też wcale za dżunglą. Tyle lat przecież przeżył na wolności, doznał wszystkich radości i trosk, jakie ona daje każdej żyjącej istocie, nie miał już nikogo drogiego na świecie. Stary i sterany życiem pragnął tylko pożywienia i spokoju. Biali ludzie dali mu jedno i drugie i nic za to nie żądali od niego.

Wkrótce przewieziono klatkę ze lwem na statek. Długo trwała podróż Grzmota, aż wreszcie wylądował w jakimś małym porcie. Nowi, nieznani ludzie kupili lwa i zapłacili za niego tanio, bo stary już był i zupełnie spokojny.

Od tego czasu Grzmot pędził życie w obszernej klatce. Przez cały dzień stawały przed nią tłumy dorosłych i dzieci. Wszyscy przyglądali się żółtym, wciąż jeszcze płomiennym ślepiom lwa, jego poważnej „twarzy", obfitej grzywie i potężnym łapom, przed którymi drżały niegdyś wszystkie zwierzęta na stepie i w dżungli afrykańskiej.

Grzmot nie wiedział, że został sprzedany do zwierzyńca, wędrującego z miasta do miasta.

Najedzony leżał spokojnie i spał, lub siedział — zapatrzony w nieznaną dal — obojętny, czy może trochę smutny, jak każdy starzec.

Nie — był raczej obojętny, spokojny, a coraz bardziej swojski ten sędziwy lew.

Nic go już nie obchodziło. Ludzie przewijali się przed jego oczami, niby jakieś cienie nieuchwytne, nie pozostawiając po sobie ani śladu ani wspomnień.

Inne zwierzęta, siedzące w sąsiednich klatkach, — niedźwiedzie bury i biały, wilki, lisy, sarny, jeleń i ryś — obce były i nieznane lwu. Nie zaciekawiły go na chwilę nawet. Przyjrzawszy się im — zapomniał o nich natychmiast.





Zdawało się, że w spokoju i ciszy dożyje do samej śmierci. Stało się jednak inaczej. Pewnej nocy obudził Grzmota straszny hałas. Ludzie wtaczali do zwierzyńca dużą klatkę, krzyczeli coś do siebie, starając się zagłuszyć straszliwy ryk, dobiegający z jej wnętrza. Grzmot zerwał się nagle z desek i, stanąwszy, wpatrywał się jarzącymi ślepiami w mrok i smagał się ogonem, prężąc się i jeżąc grzywę.



Do wolnej klatki w końcu szopy wpuszczono młodą lwicę, niedawno dopiero schwytaną w Sudanie. Grzmot nie mógł jej widzieć. Lwica umilkła odrazu. Ludzie opuścili zwierzyniec i zamknęli szopę na zamek. Wszystkie zwierzęta spały. Z ciężkim westchnieniem położył się lew i oczy już zmrużył, gdy nagle rozwarł je szeroko, nadstawił uszu i rozdął chrapy.

Uwięziona lwica ryczeć znowu zaczęła. Żałosny, rozpaczliwy, pełen cierpienia i skargi był to ryk. Każdy jego dźwięk stanowił słowo, zrozumiałe i bliskie sercu starego lwa.

— Wolności! Wolności! — zawodziła przeciągle lwica, jakgdyby błagała kogoś o litość i łkała.

I raptem wszystko na nowo przypomniał sobie Grzmot. Całe jego wolne, piękne i dumne życie przemknęło mu przed oczami — legowisko w gąszczu zarośli palmowych, płowa, zwinna lwica; małe, zabawne lwiątka; pogoń za zwierzyną, radość zdobycia i niezłomna ufność w swoje siły i przewagę... a potem — zwycięstwo nad nim młodego lwa, starość, głód i — hańbiąca niewola, tym bardziej haniebna, że poddał się jej bez sprzeciwu, ciesząc się nawet, że za jego milczenie niewolnicze i pokorę nikczemną ludzie rzucają mu kości i tłuste ochłapy mięsa końskiego.

Grzmot wstał z cichym jękiem i, zadarłszy głowę, począł ryczeć groźnie i ponuro, wbijając płonące ślepie w czarny mrok nocny.



DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ